

Warszawa dnia 14 Czerwca 1865 roku.

Nr 24. Cena w Warszawie 40 groszy miesięcznie. — Cena na prowincji na stacjach pocztowych 5 złotych kwartalnie. Rok I.

WSPOMNIENIE z MALBORGA.

(Dalszy ciąg.—Obacz Nr. 23).

Na obszarze tonącym w świetle i pogodzie, roztaczał się w całym blasku, w całéj powadze, w całym majestacie, jak krew czerwony, jak zdrada straszny, jak przemoc wielki: zamek Malborgski. Kto go nie widział, ten nigdy nie będzie miał pojęcia o potędze Krzyżaków, ten nigdy dokładnie nie zrozumie dziejów naszych, od Konrada Mazowieckiego do Kazimierza Jagiellończyka. Zamek Malborgski, pod względem budowy, może być porównany do Kaluszu z nad Neckaru; pod względem położenia nie króluje wprawdzie na takich pysznych górach, pięknie mu jednak nad urwistym brzegiem Nogatu. Ogrom zamku zasłania całe miasto. Za mostem rzuconym na obszernym rowie, ogromna brama, u góry sękata, a jeszcze wyżéj napiętrzona wieżą, prowadzi do dziedzińców obszernego jak plac, wojennych igrzysk; z trzech stron, otaczają go trzy części zamku, a raczéj trzy zamki; z czwartéj odsłania się widok na wody Nogatu, bo tu już niezdołano odtworzyć budowy, i daleko ciągnące się zwaliska dowodzą, jak wielką jeszcze przestrzeń zajmowała. W pośrodku dziedzińca znów fossa; na niéj most szeroki.

Za mostem byliśmy już na drugim krańcu zamczyska; przebywszy jakieś drożyny spadziste, pełne rumowisk i rozwalonych arkad, spostrzegamy sędziwy kościół farny, a nieco daléj główną ulicę Malborga, noszącą cechy odrębne i powabne. Nie poszliśmy jednak tą ulicą, pełną starodawnych domów i krużganków, lecz postanowiliśmy wprzód dokładnie przyjrzeć się Malborgskiemu zamkowi. Za przewodnikiem, zwiedziliśmy dwie jego części, zazwyczaj pokazywane wędrowcom. Zamek wyższy obrócony ku miastu, zawiera kościół, kapitułę, kaplicę pogrzebową ś. Anny, oraz dawne mieszkania komturów, dziś zamienione na wspaniały śpichlerz. Zamek średni panujący nad Nogatem, perła całéj téj budowy, zawiera mieszkanie wielkich mistrzów i sale gościnne. Tę część król i Prusy własnym kosztem odnowili. Nakoniec niższy zamek, zwany *Vorburgiem*, dawniéj stanowiący właściwy klasztor z celami zakonnych rycerzy i mnichów, dziś wygląda na okazałe koszary; nie ma tam nic godnego widzenia: dla starannego jednak utrzymania murów, urządzono tam arsenał, pocztę i tym podobne zakłady, dla których miejsca w tych koszarach nie braknie.


Zamek Malborgski.—(Rysował Kozarski—wyciął na drzewie Przykorski).

Poszliśmy do kaplicy ś. Anny, gdzie się niegdyś odbywały nabożeństwa żałobne. Jest ona jakby ogromna brama—pysznie sklepiona, z wejściem

i wyjściem na przestrzał wyciętém, i tylko kratą zamykanem. W zagłębieniu widać miejsce ołtarza, a na ziemi trzy kamienie wpół starte; leżą pod niemi: Dietrich von Altenburg, Winryk von Kniprode i bohaterski Henryk von Plauen. Drugą stroną kaplicy wyszliśmy na rycerski cmentarz, wybrukowany grobowemi, prostemi kamieniami, otwarty na piękny widok miasta, ścielącego się pod nim. Tam, po kilkunastu schodkach drewnianych, bo wielkie podwoje są zamurowane, doszliśmy do sali, gdzie się zbierała kapituła. Ujrzeliśmy owe sławne *drzwi złote*, prowadzące z sali do kościoła, przez które nowo obrany mistrz wchodził, zapewne do przybytku Pańskiego. Na drzwiach owych złotych, dziś ani cząstki złota nie ma, lecz za to na wielkim ołtarzu drogocenny przechował się zabytek, sukienka N. Maryi Panny, dar królowéj Jadwigi, jéj własną ręką wyszyty i Krzyżakom ofiarowany. Na stalach i ścianach, malowania bardzo starożytne, zachowały się niewyraźnie a jednak jaskrawo. Pod chórem stoi pyszne siedzenie dla Wielkiego Mistrza, a za niem tajemnicze wyjście, przez które mógł sam do spraw ziemskich powracać. O niesłychanéj grubości murów mogliśmy się przekonać, gdy wprowadzono nas do zakrystji; cała jest wykuta w głębokości muru, gdzie kilka osób stanąć w niéj może; w głębi zawiera wielką, w kształcie ołtarza wyrobioną szafę, z ubraniami kościelnemi. Na niéj złotemi głoskami błyszczy jeszcze napis polski, wymieniający zamknięte ornaty.

(Dokończenie nastąpi).

KAZIMIERZ BRODZIŃSKI.

(*Ciąg dalszy.*—Ob. Nr. 23).

W bitwie pod Lipskiem, Brodziński został ranny i wzięty przez Prusaków w niewolę, z któréj wypuszczony, po kilkunastu miesiącach, wrócił do kraju, i cały prawie rok 1814 przebył wypoczywając po trudach u ciotki swojéj, we wsi Sulikowie niedaleko Pilicy. Następnie udał się do Warszawy, gdzie wziąwszy dymissją ze służby wojskowéj, wszedł do służby cywilnéj w Komissyi Spraw Wewnętrznych. I odtąd to właściwie rozpoczyna się zawód literacki Brodzińskiego, któremu młody jeszcze, bo zaledwie wówczas 23 lat liczący exporucznik, obok swego urzędu, skromny przynoszącego mu dochód, 15 talarów miesięcznie, oddał się z całym zapałem. Napojony z dzieciństwa duchem rodzinnéj ludowéj poezji, oczytany późniéj w najznakomitszych mistrzach poezji niemieckiéj, która już dawno była jarzmo francuzkiego pseudo-klasycyzmu strząsnęła, Brodziński widział całą nędzotę, całą małość kierunku ówczesnéj literatury polskiéj, którą jeszcze ślepe naśladownictwo Francuzów w żelaznych pętach trzymało. Silnie zakorzenione rodzinne uczucie, które wciągnął w siebie za młodu z powietrzem pól i lasów ojczystych, które w postaci gadki i pieśni gminnéj w duszy osiadło, nie dozwoliło mu rzucić się ślepo torem mistrzów niemieckich. Utworzył on sobie pierwszy prawie dokładnie i jasno postawił przed sobą pojęcie poezji i w ogóle literatury *ojczystéj*, postanowił przekonania wpoić w ogół oświeconych rodaków, i tym sposobem przeprowadzić w literaturze polskiéj zbawienną reformę. Widział on całą trudnosć tego zadania, ale nie cofnął się przed nią—i lubo we własnych utworach, obok nieprzebranych skarbów uczucia, nie zajaśniał świetnym gieniuszem, lubo rzadko kiedy odznacza się świeżością formy—jednak potęgą poczutéj prawdy, wiarą w rzeczywistość prawd głoszonych, cierpliwością i wytrwałością, przełamał wszystko i dokonał co zamierzył. Brodziński jest tem dla epoki, którą rozpoczyna, czem był Konarski dla epoki którą on zakończył. Między pogromcą panegiryków i makaronizmów, a tryumfatorem nad bezdusznem naśladownictwem francuzczyzny, dałoby się niejedno wykazać podobieństwo. Brodziński szczęśliwszy w tém, że reforma przezeń zaprowadzona, co do zasady była ostateczną, stanowczą. Téj zasady, która dziś coraz szersze znajduje zastosowanie, nic już wywrócić ani zastąpić nie zdoła.

Wrodzona skromność i nieśmiałość, charakter łagodny i potulny, wreszcie sam rodzaj zdolności jego sprawiły, że Brodziński do zamierzonego celu nie szedł przebojem, ale zwolna choć niezmordowanie, bez odpoczynku. Rozpoczął od drukowania w *Pamiętniku Warszawskim*, wydawanym przez F. Bentkowskiego, przekłady swoje z poetów niemieckich, mianowicie z Szyllera; po nich nastąpiły przekłady pieśni gminnych i innych słowiańskich ludów, wreszcie utwory oryginalne, treści i ducha narodowego, powiększéj części na tle życia i uczuć ludu osnute, między któremi pierwsze miejsce trzyma najpiękniejszy, najpełniejszy i najbardziéj wykończony, ze wszystkich utworów Kazimierza Brodzińskiego— *Wiesław*, sielanka krakowska. Nareszcie w roku 1818 w tymże *Pamiętniku Warszawskim*, do którego redakcji już sam wówczas należał, wystąpił z rozprawą: *O klasyczności i romantyczności.* W rozprawie téj, skreśliwszy wkrótkich a wyrazistych rysach charakterystykę literatury greckiéj i rzymskiéj, wykazawszy następnie główne cechy ducha francuzkiego, i wskazawszy czem jest właściwie nowy tak zwany klasycyzm francuzki w stosunku do klasycyzmu Greków i Rzymian, przechodzi Brodziński do określenia romantyczności. Tutaj idzie mu trudniéj. Pojęcie to wtedy u nas całkiem nowe, a tem trudniejsze do wytłumaczenia, iż nazwa jego wzięta z literatur obcych, u nas nie znajduje żadnéj podstawy ni objaśnienia w przeszłości. U nas epoki romantycznéj nigdy nie było—a raczéj romantycznym był cały nasz żywot od początku do końca, ale romantycznym się nie zwał. Wiedział to, i czuł Brodziński, kiedy w rozprawie swéj pisał: „Średnie rycerskie wieki, ten główny punkt romantyczności, od którego wzięła nazwisko i odznaczenie się swoje w poezji, nie są dla nas; bo nasza polityczna towarzyskość już była zawiązaną, kiedy się rycerze chrześcijańscy za osobnemi przygodami i widokami błąkali..." Jednakże chcąc objaśnić wyraz, który zyskał prawo obywatelstwa we wszystkich literaturach zachodnich, wykazuje on szczegółowo i starannie motywa romantyczności we wszystkich literaturach europejskich, ale zarazem dowodzi, iż żaden z nich nie jest właściwym dla naszéj, a przechodząc w końcu do poezji polskiéj, tak mówi: „Ujmę sobie a krzywdę postępowi zrobimy, jeżeli się tylko o tyle cenić i o tyle doskonalić zechcemy, ile się do obcych możemy przyrównywać. Żaden naród nie doskonalił się tą drogą, a każdy ma swoich pisarzy, których umie oceniać, według narodowego ducha i gustu swojego. W języku i w charakterze narodowym możemy zakładać wszystkiego nadzieje. Co do uczucia romantyczności, nie pozwolę sobie więcéj żadnych uwag; byłoby to albowiem wykreślać władze myślenia, nadawać prze-

pisy czuciu. Wzór jéj jest w naturze, z którego czytać nikt się od nikogo nie nauczy.”

(Dokończenie nastąpi).

SŁONECZKO.

(Z piosnki ludowéj).

Wyjdy, wyjdy soneczko,
Na popowe połeczko,
Na babine ziłeczko!

* * *

Wyjrzyj, wyjrzyj słoneczko!
Na kościelną polanę,
Na babine ziółeczko;
Wyjrzyj, wyjrzyj kochane!

Oj! bo księdzu—krom chleba,
Którym biednych obdarza;
Świec jarzących potrzeba,
Do świętego ołtarza.

A pasieka babina,
U kościelnéj polanki. . . . .
W jéj ogródku leszczyna,
Bzy i wonne tymianki.

Gdy nazbiera z ziół miodu
Pszczółka, więcéj da roi;
Kwieciem z swego ogrodu,
Babka ołtarz przystroi. . . . .

I na ołtarz da świece,
I dziękczynne pacierze;
Niech więc w swojéj pasiece,
Więcéj miodu podbierze. . . .

Wyjrzyj, wyjrzyj słoneczko,
Na kościelną polanę;
Na babine ziółeczko,
Wyjrzyj, wyjrzyj kochane!

DWIE KAMIENICE w WARSZAWIE.

Na najpiękniejszéj ulicy Warszawy, znikną wkrótce ślady dwóch kamienic, których kronika jest zajmującą. Miasto zyska na ozdobie przez rozszerzenie i utworzenie widoku na wspaniały kościół po-Karmelicki na Krakowskiem-Przedmieściu i okazały gmach Ruskiego Gimnazjum. Z dwóch kamienic, o których mamy mówić, jedna już rozebrana, drugą ten sam los czeka, a miejsce jéj zajmie plac brukowany.

Kamienicę pod N. 305 na Krakowskiem-Przedmieściu, wymurował Józef Wasilewski, radca dworu króla Stanisława, w pierwszych latach jego panowania; wznosi się ona na prost bramy zamkowéj i była na owe czasy ozdobą, z obszernem mieszkaniem na 1-em piętrze. Mieszkanie to zajmował w r. 1768 Ignacy Krasicki, biskup warmiński, i w niem dawał tak zwane *Uczone wieczory*. W kilkanaście lat po nim, toż mieszkanie zajęła *Elżbieta z Szydłowskich Grabowska*, głośna w czasach panowania Stanisława Augusta, znana powszechnie pod nazwiskiem pani Grabowskiéj, a tajemnie późniéj zaślubiona temuż królowi. Córka téj pani Grabowskiéj—Aleksandra w 17 roku życia wydaną została za hr. Krasickiego, ale zaraz po ślubie zabrana przez matkę do domu. Po roku udręczeń i daremnych zabiegów męża o jéj wykradzenie, zmarła 12 maja 1789, podczas uroczystéj uczty wyprawionéj w domu jéj matki. Pani Grabowska przeżyła córkę lat 20; zakończyła bowiem życie dnia 28-go maja 1810 roku.

Kamienica ta, w któréj się ten dramat odegrał, nabyta w ostatnim kształcie i przebudowaną została przez znakomitego doktora Wilhelma Malcza, a po jego zgonie, kupił ją typograf i księgarz S. Orgelbrand.

Obok niéj stała kamieniczka narożna niska, piętrowa, którą Stanisław August, w parę lat po wstąpieniu na tron, zaczął przebudowywać i zdobić, a po ukończeniu darował ją na własność sprowadzonéj z Paryża francuzce *Zofji de Sugett Lhuillier*, którą poznał w Paryżu, odbywając podróże przy poselstwie polskiém, i sprowadził późniéj do Polski, wywdzięczając się za spełnienie jéj przepowiedni. *Zofja Lhuillier* przepowiedziała mu bowiem, że zostanie królem.

Dom ten pełen skrytek i przejść tajemnych, pomiędzy ścianami podwójnemi, zadziwiał urządzeniem zewnętrznem. Skrytki te i przejścia nieznaczne, potrzebne były przebiegłéj Francuzce, która pomimo znakomitéj pensyi, jaką pobierała od króla, nie małe dochody ciągnęła *z Kabały*; albowiem magnaci, wielkie panie, dworzanie i obywatele, ciągnęli do niéj hurmem po wróżbę, wierząc w jéj przepowiednie, po sprawdzeniu jednéj na Stanisławie Auguście. Podania współczesne mówią, że damy przybyłe po wróżbę, ukrywały się starannie z odwiedzinami króla i panien, że przejściami pomiędzy ścianami Stanisław August, pod pozorem odwiedzin *Mamzel Lulli* (jak zwano francuzkę kabalarkę), przechodził do obok stojącéj kamienicy Wasilewskiego, w któréj na I-em piętrze mieszkała Pani Grabowska, i wtedy zawiązywały się bliższe stosunki. *Mamzel Lulli* umarła w Warszawie 22 grudnia 1802 roku, dożywszy 86 lat wieku. W Łazienkach królewskich, pałacyk po lewéj stronie głównego gmachu w pobliżu stolicy, za niedawnych jeszcze czasów zwanym był pałacykiem *Mamzel Lulli*; gdyż ona mieszkała w nim zwykle i zajmowała go od cieplejszej wiosny do jesieni, zapraszana ciągle na uczty i zebrania dworskie.

CHATKA POD LASEM.

(*Dokończenie.*—Obacz Nr. 23).

Wiktusia odgadła z twarzy wchodzącego Walka cały stan jego duszy, to też go nie pytała o nic i on nic nie odpowiadał, tylko jéj położył na skrzynce pieniądze i siadł smutny. Matki nie było w domu.

— Walku, Walku, mówiła Wikta patrząc na niego, jakoś ciężko i smutno nam idzie ta żeniaczka; widno, że nie ma przeznaczenia. I mnie strasznie przykro, kiedy widzę, że ty przez nas tyle masz znosić. Możebyś ty potem pożałował tego i obrażał Pana Boga. Pomiarkuj się lepiéj, ja biedna, do tego matka stara. Ty sobie znajdziesz jaką kmiecą córkę i będziesz szczęśliwy. Weź ty sobie swój pierścionek i idź od nas z Bogiem, mówiła niby spokojnie, ale nie mogła domówić do końca, bo się łzami cała zalała.

— Wikta, Wikta, mówił Walek, co ty mi gadasz. Jak mi Boga trzeba przy skonaniu, tak ja ciebie wolę nad inne. Bieda z nami, bo bieda, ale Pan Bóg nas nie opuści, od Jego woli wszystko zależy.

I objął płaczącą dziewczynę za szyję i całował.

A w drugą niedzielę po summie, odbył się ślub Wiktusi z Walkiem. Kościół był prawie pusty, bo się dziewki wyniosły z kościoła, nieciekawe panny

młodéj, co nie będzie miała bogatego stroju i starsi ludzie ruszali ramionami i mówili: chodźwa, nie ma na co patrzeć, tać to liche weselisko będzie i bez muzyki. Tylko stara matka, córka dziada Kazimierza i jakiś ubogi parobczak, stanowili cały orszak weselny, i ksiądz jak od niechcenia ślub dawał i organista nie zagrał na organach. I po ślubie nie było wesela w chacie pod lasem, nie było śpiewki. Smutno, cicho, zaczęli małżonkowie wspólną dolę.

Ale jest Pan Bóg w górze, co rachuje po świecie poczciwe serca; On im błogosławił z góry. Chmury zasępią nieraz ranek życia, ale po deszczu śliczna bywa pogoda.

Rozśmiejecie się może na ten wyraz *szczęście*, wam takie szczęście kością w gardleby stanęło, oczy łzami zalało, a ustami przekleństwa i narzekania sypało. Kiedy bo widzicie Bóg tak dziwnie pięknie urządził, że każdemu i najlichszemu stworzeniu dał cóś, co go ucieszy w życiu. I pan i chłop i rzemieślnik i wyrobnik mają swoje szczęście, swoje radości, jeden nie widzi go u drugiego, ale go nieraz uczuje u siebie. Wprawdzie ludzie narzekają, że im źle, ale to dla tego, że ich nieraz obce szczęście kłuje w oczy i ślepi i dla tego swego nie widzą. Nie wierzcie takim ludziom, bo patrzcie tylko, niechno zachoruje a ciężko, to i taki narzekający, boi się śmier-



Sala w Malborgu, gdzie się zbierała kapituła.—(str. 186, szp. 1).—(Rysował Kozarski—wyciął na drzewie Gorazdowski).

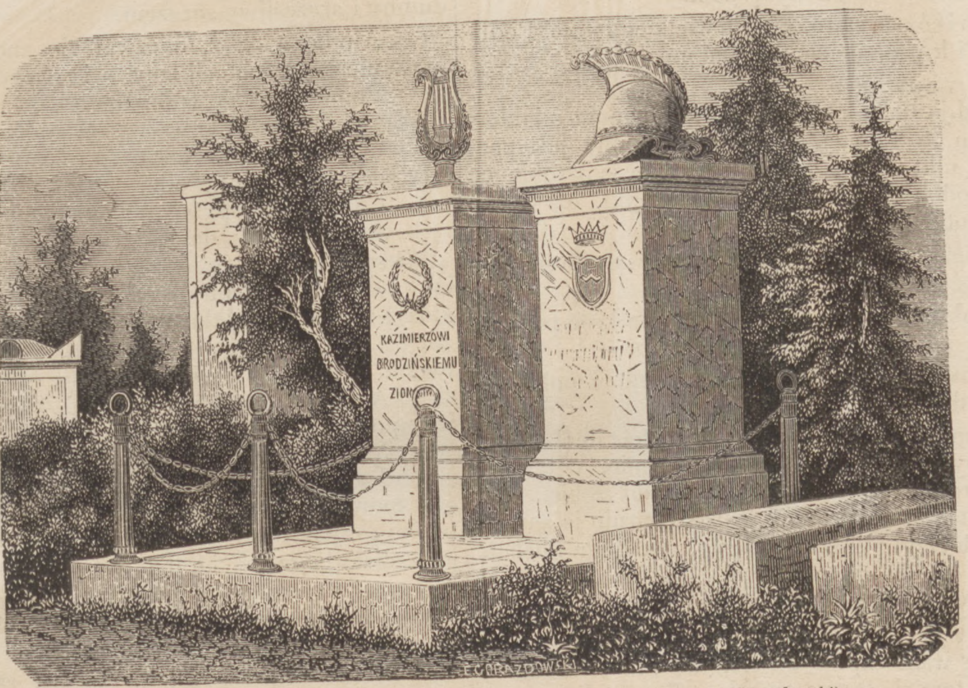
Na drugi dzień rano, małżonkowie wzięli się do pracy. W biedzie nie ma czasu na odpoczynek, ani na rozkosze, ani na smutki długie. Ich rozkosz największa była ta, że teraz społem pracować mogli jedno na drugie, pocieszać się nawzajem i pomagać sobie. Walek ochotniéj pracował, bo miał dla kogo, roboty było dość, bo kilku zamożnych kmieci stawiało nowe chaty. Wikta to szyła w domu, to chodziła na zarobek i na każdą niedzielę kilka kwitków uzbierało się do dworu. A matka znowu za swoją wiśniochą po lesie łazi, to grzyby i patyki zbiera, to trawę znosi, to koło domu coś zrobi. A wieczór wszystko troje się zejdzie, w progu chaty jedzą wieczerzę i dziękują Bogu za szczęście.

ci, a pragnie żyć. I czemu? wszak narzekał? Widno, że tam w jego życiu było szczęście, kiedy tak lgnie do życia.

Dużo strapień, dużo trosk i kłopotów przeciąga nad człekiem, jak te czarne chmury, ale Bóg daje także wiele słonka i wiele pogody, by duszę ogrzać i rozweselić. Patrzcie: tam dziewczyna straciła matkę i łamie ręce, to ból wielki, to duże cierpienia, i ta dziewczyna płacze potém wieczorami na grobie matki i modli się a płacze, czy wy myślicie, że taka modlitwa, a taki płacz rzewny, to nie szczęście, to nie pociecha sieroty? Są ludzie nudnego życia, pustego serca, coby tysiące dali, by mogli zapłakać takiemi łzami, co w niebo podnoszą i spokój dają

Tam żona męża pochowa i wdową wraca do pustéj chaty, biedna! prawda? Ale w progu małe dziecko do niéj wyciąga rączki i „mamo" woła. Czy myślicie, że ta kobieta straciła wszystko swoje szczęście? Ten co stracił całe mienie swoje, nieraz w obec nędzy drugich, jeszcze bogatym się uczuje i tysiące chwil błogich czeka na niego w życiu. Na grobie starych nadziei, stają kołyski nowych, i tak aż do grobu szczęśliwe chwile pod różnemi postaciami spotykają nas i cieszą, byle tylko zbrodnie i sumienie nie kłóciły nam tego szczęścia. Spojrzyjcie na własne życie, porachujcie te krótkie, jasne pocałunki szczęścia a zobaczycie, że was nie zwodzę. W końcu postawię wam jeszcze jeden obrazek. Wracałem raz z przechadzki; przy drodze na kupie kamieni, siedział ubogi człowiek w łachmanach, tłukący kamienie, obok niego żona, która mu w garnuszku pożywienie przyniosła a teraz postawiwszy garczek na ziemi, usypiała małe dziecko na ręku. I mąż i żona zagapili się manie szedł do kościoła, a za nim Wikta ubrana jak kmiotka—chędogo i barwisto, i już nie wstydano ich się więcéj i poważano ich w siole.

Tak było niespełna półtora roku tego pełnego szczęścia i znowu zachmurzyło się życie poczciwego Walka. Stara matka umarła—nie za długo i Wikta położyła się w łóżko spodziewając się dziecka. Więc się Walek zadłużył u kmieci, bo robota nie szła w zimie, a wydatku było wiele. Ale Walek nie łamał rąk, nie rozpaczał, jeno cieszył żonę i spokoił siebie powtarzając: Da Bóg lepiéj. Jednego razu, a było to pod wieczór, Walek wybiegł z domu, ku wsi do karczmy po świeczkę, a w chałupie zostawił chorą żonę i babę przy niéj. Na polu było brzydko, niemiło, śniegi topniały, czarne role przeglądały już przez nie, po brogach stały błotne kałuże, mocny chłodny wiatr przeciągał. Walek leciał prędko, by na czas wrócić do chaty i zmęczony, zdyszany, wszedł do karczmy. W pustej obszernéj izbie karczemnéj,



Grobowiec Brodzińskiego w Dreznie.—(Rysował Kozarski—wyciął na drzewie Gorazdowski).

w śpiącą twarz dziecka i na twarzach ich był uśmiech szczęścia, wewnętrznego zadowolenia. Ta grupa nieraz mi staje przed oczyma, i przypominając ją sobie, nie mogę wierzyć, by był taki człowiek na świecie, co przy cnotliwém życiu, mógłby się uskarżać, że nie zna co to szczęście.

Rozgadałem się nieco szerzéj o szczęściu, byście uwierzyli, że Walek był także szczęśliwy. Coraz w chatce dostatku przybywało, codzień było w niéj pełniéj, jaśniéj, weseléj. Walek chatę podreperował, Wikta ją polepiła i pobieliła z wierzchu, już i w izbie widniéj, bo Walek wyrąbał szersze okno w ścianie, w około ścian ławy, stół duży na skrzyżowanych nogach, na łóżku pościółka z pierza, po ścianach szklą się święte obrazy i polerowane misy wyglądają z szafy. I w obórce przybyła druga krówka i wieprzak w chlewku się karmi. Ot tak z każdym dniem, coś przybywało w chacie przy pracy, a ludziom dziwno było, gdy Walek w niedzielę w porządnéj sukmanie siedział jakiś człowiek obdarty, bosy, do niego tuliło się kilkoletnie dziecko, ale on mało zważając na nie, zajęty był rozmową żywą z arendarzem. Gdy Walek otworzył nagle drzwi, arendarz się wstrząsnął z przestrachu, ale poznawszy Walka uspokoił się i przywitał go:

— Jak się macie Walku, ny, a co was tu na taki czas przygnało—toż ciężko psa teraz wygnać.

— Świeczki dajcie, bo może moja baba dziś w nocy...

— Ny, chwała Panu Bogu, będą chrzciny, będziemy pić...

I to mówiąc zawlókł się do szynkfasu szłapiąc pantoflami. Obdarty człowiek z uwagą przypatrywał się przybyłemu Walkowi, twarz jego się ożywiła, oczy stały się ruchliwsze, żywsze, potem stanęły słupem niby prypominając sobie coś, podniósł się z ławy i zbliżył się ku światłu.

— Walek, niech mnie piorun trzaśnie, Walek, szelma nic się nie zmienił—no, daj gęby, krzyknął

przybyły i rzucił się z uśmiechem na Walka. Ten przetarł oczy i przyjrzał się nieznajomemu.

— No cóż gamoniu nie poznajesz mnie? toż ja Błażéj, twój brat.

Walek osłupiał, patrzał, i oczom nie wierzył, ujrzawszy brata w takim okropnym stanie. Dziwnie bowiem niepodobny był ten Błażéj, do owego pana Błażeja, któregośmy poznali dawniéj w niedzielnéj paradzie. Zamiast wysokiego kapelusza, kipiała nad prawem uchem stara poplamiona czapka, ledwie pół głowy zakrywająca z rozdartym daszkiem, z pod długiego letniego, płóciennego surduta, wyłaziła brudna, potargana koszula, spodnie obszarpane, zabłocone, wisiały na krajce. Twarz pana majstra postarzała, włos posiwiał, czerwone plamy na policzkach przechodziły w purpurowe i sine. Za poły surduta trzymał go się chłopczyk mały, źle odziany i drżący z zimna, nogi chłopczyny owinięte były grubo jakiemiś zabłoconemi szmatami.

— Na rany Boskie, co się z wami stało panie bracie? wybąknął zdumiony Walek.

— No i cóż się stało, cóż się wielkiego stało? Podupadłem i kwita, ale się dorobić mogę.

— A wasza żona?

— Pal ją licho, szelma uciekła odemnie z jakimś kapralem, to i lepiéj, człowiek swobodny jak pan, teraz mi nikt nad uszami nie trajkocze i robię co mi się podoba. Panie arendarzu, wódki, toż trzeba oblać spotkanie.

I potoczył się, zawadzając o ławę i potrąciwszy dziecko, że aż zapłakało.

— Dobrze ci tak bębnie, to się nie kręć pod nogami.....

— To wasze? spytał Walek patrząc z politowaniem na dziecko.

— A moje... dziewczynę wzięła jakaś imość, a tego się zbyć nie mogę, może kto weźmie, w którym dworze, to się zbędę kłopotu... No, do ciebie... dawnośmy się nie widzieli, a widzisz durniu ja zawsze do swoich ciągnął, bo ja nie zły, jak Boga kocham nie zły, i gdyby nie ta szelma sekutnica... No i czemuż tak wybałabuszyłeś na mnie gały, jak na straszydło, pij!

— Bóg wam zapłać bracie, ale mnie do domu pilno, bo tam siedzą po omacku. To jeżeli wy naprawdę do nas przyszli, to wam rad będę, a w chacie znajdzie się dla was przytulisko i kawałek chleba. Chodźcie panie bracie.

— Nie bój się, nie naprzykrzę ci się długo..... przytuliska twego nie potrzebuję, ale pójdę.... niech mnie djabli wezmą, pójdę zobaczyć to wasze gospodarstwo, a i pogadać mam wiele.

To mówiąc, wysunął się z karczmy za Walkiem, a dziecko drżące od zimna biegło za niemi. Walek obejrzał się, żal mu się zrobiło chłopaka i wziął go na rękę przenosząc przez kałuże i wody. Błażéj szedł taczając się na obie strony, często upadając; kijem wywijał a klął i śpiewał na przemiany.

— Walek, Walek słuchaj ty, ktoby się spodziewał, że ja tu się do was przywlekę do wsi, co? I to jak dziad ostatni, ty się nie spodziewał tego, prawda? co?

— Oj, nigdy w życiu mój bracie, mówił Walek z westchnieniem, nigdy ja nie myślał, że wam na taką biedę przyjdzie.....

— To nic, będzie lepiéj, zobaczysz.

— Toć i ja mam nadzieję.....

— Jakto? Albożjuż wiesz? Kto ci mówił?

— O czem?

— Nie wie i nie domyśla się, głupi cham, mruczał Błażej i szedł daléj.

— A cóż u djabła, mówił znowu po chwili, gdzież ta twoja chałupa, gdzieś na końcu świata? Zmachałem się już jak pies na polowaniu.

— Ot tu zaraz za łąką.

Błażej chwycił Walka za rękaw i przytrzymał go.

— Słuchaj ty, twoje babsko chore, to może ci nie na rękę?.....

— Toć źle o mnie myślicie, żebyście mi mogli być nie na rękę, ta to brata nie znaleźć tak łatwo na świecie, rzekł Walek, który im bardziéj zbliżał się do chaty, tym więcéj czuł radości, że mu Bóg pozwolił dorobić się do tyla, że ma gdzie brata rodzonego przyjąć i jako tako ugościć, i był z tego dumny i szczęśliwy zarazem.

— Ale bo widzisz, odezwał się znowu Błażek, może nie masz osobnéj izby, a ja chorych nie lubię.

— Pomieścicie się w komorze......

Weszli do chaty, baba wyszła do sieni otworzyć.

— Oj Walku, mówiła, ta to czekawa i czekawa, a ty jakby kamień w wodę.

— Cóż Wikta? spytał Walek.

— Zasnęła teraz, dajcie świecę.

Zapaliła ją, Walek wszedł za nią po cichu do izby i dziecko, co mu przez drogę usnęło na ręku, złożył na swojem łóżku i przykrył; potém wziął kożuch z żerdzi i wyszedł do brata, który na niego czekał w sieni. Weszli do komory.

— Alež wam tu zimno będzie.... możebyście do izby poszli?.....

— Nie, nie, wolę tu i tak niedługo.....

— To wdziejcie kożuch.

I znowu wyszedł po słomę i rozesłał ją bratu, potém przyniósł mu chleba i séra; wszystko, czem jego chata bogata była, tem darzył brata i czuł z tego powodu pewne uszczęśliwienie, pewną radość; lubo z drugiéj strony bolało go, gdy sobie przypomniał teraźniejsze jego położenie.

— Jak widzę, to się masz nie źle, rzekł Błażej siedząc na słomie przykryty kożuchem i zajadając.

— Jest chwała Bogu, ale.....

— Widzisz jak się to obróciło, dawniéj ja był panem, majstrem, obywatelem, a teraz... ale, nie masz wódki.....

— Nie ma bracie.

— To głupio, to źle i jakże ty żyć możesz bez wódki?... ale o czemże my to mówili? a... więc masz się teraz dobrze? co?

— Byłoby dobrze, ale we żniwa zmarła matka mojéj Wikty i ona sama zaniemogła, to się zadłużyło u ludzi... ale się z pomocą Boską odrobi.....

— A filut jak się kryje, żebym się nie przymówił o pieniądze, nie bój się.....

— Źle myślicie panie bracie.....

— Nie bój się gapiu, ja się znam na tem, alem nie po to tu przyszedł, żeby wydrzeć od ciebie, jeno żeby ci dać, rozumiesz? dać jeszcze.....

Walek zgłupiał na ten nagły zwrot mowy brata, spojrzał na niego jakby się chciał przekonać, czy to brat czy wódka przez niego mówi.

— Już się gapisz—myślisz, że kłamię? albom pijany, co?

W téj chwili przez ścianę dało się słyszeć jęczenie niewieście; Walek się poruszył, Błażéj przytrzymał go za rękę.

— Zaczekaj, musimy pogadać, bo czasu już niewiele, wnet kury na północek zapieją.

— Spijcie, spijcie lepiéj bracie, ot, wam się troi...

— Głupiś, nie tyle ja wychlał a nie troiło mi się; słuchaj, siądźno przy mnie, coś powiem.

Walek usiadł obok brata, a niepokój jakiś go ogarniał.

— Widzisz, mówił Błażéj, tobie się zdaje, żeś bogaty, a to twoje bogactwo to tyle znaczy, co bieda innego. Lada ciężki przednówek, lada choroba, i już całe bogactwo pójdzie...

Walek westchnął, bo właśnie niedawno doświadczył tego.

— A potém przyjdą dzieci, to i nędza się pomnoży, to i cóż wtedy?

— To będę więcéj jeszcze pracował...

— Ba, głupie gadanie i zapracujesz się, a taki zawsze biedny będziesz.

— To i cóż robić? tu Walek poskrobał się w głowę i zamyślił.

— Słuchaj Walku, rzekł brat, biorąc go za rękę, i zniżając głos—chcesz być bogatym?

Walek drżał cały, twarz brata miała wyraz jakiś straszny, brzydki, oczy jego niespokojnie latały a ręce kościste paliła gorączka.

— No, gadajże durniu, chcesz być bogatym?

— Jak?

— Jak? poprostu. Dziś dziedzic wasz wyjechał z domu z całą rodziną, spotkałem go koło miasteczka, wróci dopiero jutro, we dworze pustki, służących kilku tylko zostało, rozumiesz?

— Nie rozumiem bracie...

— Toś osioł, słuchaj! Tyś pobijał dach w pańskich pokojach, tybyś trafił łatwo do izby pana, tam są pieniądze.....

Walek zerwał się, i odskoczył z przestrachem od brata.

— Bracie, bój się Boga, coś ty powiedział?

— Ot, macie chama, on chce być bogatym, a chce żeby mu majątek sam wlazł w łapy bez pracy i bez mozołu. I cóż tak drżysz jak gęś niedorznięta, toż nam się nic nie stanie, wejdziemy po cichu, mam tu żelazka, co zamek zgrabnie otworzą i zamkną, a potem wszystko na sługi spadnie, a nam nic; ani się pies nie domyśli. A potem się podzielimy, rozumiesz ty, będziesz bogaty, będziesz miał porządną chatę, bydło, może się i do miasta przeniesiesz i na mieszczana się przy mnie wykierujesz. No i cóż? Namyśl się bo już wielki czas. Psy nam nie przeszkodzą, poczęstowałem ich przed wieczorem taką porcją, że już drugi raz gęby do jadła nie otworzą. No i cóż? Obłowiemy się...

— Nie kuś mnie ty bracie do złego. Ubogim ja, ale śmiało ludziom mogę spojrzeć w oczy, a coby mnie po bogactwie, gdyby tu wciąż gryzło i niepokoiło?....

— Toś się wygadał, jak proboszcz na ambonie, a wszystko djabła warte. Pomyśl no zkąd dziedzic ma majątek, jeżeli nie z waszéj krwawéj pracy? Więc jeżeli zabierzemy, to nie jego, ale nasze...

Walkowi przewracało i mięszało się w głowie, czuł grzech w słowach brata, ale nie umiał odeprzeć podstępów jego równie przewrotnemi słowami, jeno wciąż uparcie powtarzał: nie, nie...

— To ty dopiero dobry brat, mówił daléj Błażéj ochrypłym głosem, że z biedy nie chcesz wyratować taką bagatelą.

— Toć Bóg widzi, że radbym wam pomódz. Ot wiecie co, zostańcie tu u nas, majsterska robota się znajdzie we wsi, szczególniéj teraz w zimie, to się pokrzepicie i dorobicie:.......

— Głupiś, ja tu będę na wsi siedział, ja majster szewcki! niedoczekanie twoje!

Walek się zamyślił, Błażéj wstał i zabierał się do odejścia.

— Dokąd idziecie?

— A tobie co do tego? Depczesz samochcąc szczęście, co ci w łapy lezie, nie chcesz iść, to siedź, ja sam pójdę.

— Na miłość boską bracie nie róbcie tego, prosił Walek pomięszany, niespokojny i w końcu widząc, że Błażek ku drzwiom się posuwa, chwycił go za rękę i rzekł:

— Błażku słuchaj, mam jeszcze kilkanaście złotych pożyczonych, chowałem je, by na lato kupić krowę, bośmy wiśniochę przed zimą sprzedali, Bóg świadkiem, że ciężko mi będzie uzbierać na nowo, ale ci dam na zapomogę. Wrócisz do miasta, ogarniesz się i poczniesz robotę.

— Idź do djabła, niech pracują tacy głupcy jak ty i zarobią się jak bydlęta, mówił Błażéj, wyrywając swą rękę z rąk chłopa. Nie pójdziesz ty, pójdzie drugi, Jankiel wynajdzie mi pomocnika.

— Nie, bracie, ja cię puścić nie mogę do grzechu, rzekł Walek z silnem postanowieniem i rozkrzyżował się we drzwiach zastępując bratu. Temu oczy dziko łysnęły, rzucał się ku drzwiom i poczęło się straszne szamotanie; z wytężenia, oba zabyli głosu w piersiach, syk tylko to słabszy, to głośniejszy, dobywał się i słychać od czasu do czasu, silne uderzenia we drzwi. Jednemu gwałtowna, brzydka namiętność dodawała sił, a drugiego krzepiło uczucie sprawiedliwości, obowiązek sumienia i miłość ku bratu. Niestety! namiętność częściéj zwycięża i tą razą tak się stało. Błażéj im więcéj znajdował przeszkód, tym bardziéj wierzył w możność swego przedsięwzięcia, tym większa ogarniała go wściekłość przeciw bratu, który chce zniszczyć to jego szczęście, który go wstrzymuje, gdy chwil do spełnienia zamiaru niewiele już zostaje. Ta myśl dała mu wilczą zajadłość i siłę.

— Puść mnie! krzyknął i z wysileniem rzucił się na Walka, odepchnął go, rzucił na ziemię i pędem wyleciał na pole.

Walek silnem uderzeniem o ziemię, chwilowo odurzony podniósł się niedługo i wyleciał za bratem. W izbie przyległéj jęknęła jego żona ostatnim najsilniejszym bólem przyparta i krzyknęła:

— Walku! Walku!

Walek zawahał się, stanął i myślał chwilkę, czy wrócić do żony, co kona może, czy lecić za bratem, co szedł dopełnić zbrodni. Namyślił się, westchnął, tem westchnieniem polecił żonę Boskiéj opiece i poleciał za bratem.

Leciał wprost przez błota i kałuże, oczy wytężał przed siebie, ale nic dopatrzyć nie mógł w ciemności. Już tracił nadzieję, że zdoła powstrzymać brata i zmęczony, osłabły stanął pod parkanem dworu. We dworze było cicho, spokojnie, obejrzał ściany oczyma i uspokoił się. Nie był jeszcze, a może i nie

przyjdzie, pomyślał, może go Bóg dobrą myślą natchnął i od złego odwrócił.

Mimo tych myśli, jednak nie chciał odejść ode dworu, stał jako pies wierny na straży mienia swego pana, który teraz w najlepsze się bawił. Stał tak dość długo, gdy wtem od wsi usłyszał stęp ludzkich kroków po błocie. Zadrżał na nowo, zmęczył się niewiedząc co począć: Czy budzić ludzi we dworze i powiedzieć wszystko? Aleź wtedy brata wepchnie w nieszczęście i odda w ich ręcę. Nie, tego zrobić nie mógł. Namyślił się chwilkę, i postąpił naprzód w stronę, z której słyszał kroki.

— Kto tu? krzyknął Błażéj.

— To ja Błażku, odrzekł spokojnie Walek.

— A co nie mówiłem? Namyśliłeś się, bo i jest czego. To dobrze, bo ten urwis Jankiel tylko gotowem chce się dzielić, a pomódz nie chce. No, chodźmy.

— Błażku, Błażku, upamiętaj się, złe cię opętało, prosił Walek chwytając go za ręce, wróć do naszéj chałupy.



...Podniósł rękę z kamieniem i silnie uderzył nim w głowę brata...—(str 192, szp. 1.)
(Rysował Tegazzo—wyciął na drzewie Gorazdowski).

— Więc po toś przyszedł, tfu, idź do djabła i nieprzeszkadzaj mi, teraz sama pora.

— Ja ci niepozwolę

— Co? Możebyś się znowu bił zemną? Pole nie chata, nieuda ci się... idź mi z drogi. I pchnął silnie Walka tak, że się potoczył w tył, ale wnet wrócił i uczepiwszy się surduta brata prosił go: nie chodź tam Błażku.

— Puść mnie, puść, sycząc z gniewu i wściekłości mówił Błażej, bijąc go pięścią i odczepiając jego skurczone palce.

— Nie puszczę bracie, pomyśl na kryminał, na sumienie.

Błażej trząsł się z gniewu i chciwości kradzieży, gorączka paliła go, ręce konwulsyjnie drżały, w oczach błyszczała jakaś myśl straszna i dzika.

— Walku na Boga ustąp i nie wodź mnie na pokusę, bo... bo ja zapomnę, żeś ty mój brat, słuchaj, puść mnie.

I chwycił z ziemi kamień duży, ostry.

— Puścisz mnie, szelmo, chamie.

Walek nic nie odpowiedział, jeno silnie trzymał go za surdut i z niemą trwogą i z prośbą patrzał w twarz brata. Błażej rozwścieczony, podniósł rękę z kamieniem i silnie uderzył nim w głowę brata. Ten krzyknął, zachwiał się i upadł. Błażéj oswobodziwszy się od niego, skoczył przez parkan, ale krzyk mocny obudził służących we dworze i niebo bledną́ć zaczynało, we dworze ruszać się poczęto. Błażéj zaklął, chyłkiem wymknął się z ogrodu i zniknął.

Tymczasem słuzący przerażeni rozdzierającym, niezwyczajnym krzykiem, wybiegli ku bramie, zobaczyli bez zmysłów człowieka, skrwawionego i jęli go trzeźwić. Walek otworzył oczy, spojrzał do koła, brata nie było; na twarzach służących nie widział żadnego innego uczucia oprócz zdziwienia, przerażenia i politowania, domyślił się, że się nic złego niestało we dworze, westchnął i szepnął: Bogu dzięki. A potém dziękował ludziom za pomoc, tłumaczył się, że zawiele wypił w karczmie i zabłądził aż pod dwór i upadłszy stłukł się mocno. Potem się podniósł i zawlokł się osłabły do domu.

I cóż? spytacie—cóż daléj? Czyż nikt nie widział tego pięknego, chrześcijańskiego uczynku biednego chłopka? nikt nie nagrodził go za to? Nie dziwię się, że się o to pytacie, boście wy przyzwyczajeni czytać po książkach piękne czyny ludzkie, za które ich potem sowita czeka nagroda; tak się do tego wezwyczailiście, że kiedy kto dobry uczynek zrobi, wnet się ogląda, czy mu zań nagrody nie niosą. Ale ja wam inaczéj pokażę. Bo i cóż to za cnota, co się czyni z myślą nagrody; taka cnota to najemnica, któréj dajecie odrobinę groszy, by się jéj trudem i potem zbogacić.

Nikt nie widział pięknego czynu Walka, nikt go za to nie nagrodził; ale widział tam w górze, wysoko Bóg i uradował się i przeżegnał błogosławieństwem życie jego, a wy wiecie co to błogosławieństwo Boże, to nie bogactwo, co się rozleje jak woda z woru, ale ciągłe przybywanie onego chleba ewangielicznego, którym wszystkich nakarmić można.

Bóg błogosławił Walkowi, i w chacie jego było szczęścia dużo, zdrowia dużo i dostatek wszystkiego, choć w chacie dwoje żyjątek przybyło: nowonarodzone dziecko, i sierota po Błażeju, którą Walek przytulił i jak własne dziecko ukochał i wychował.

A Błażek? Włóczył się, pił i kradł, aż go raz pochwycono i uwięziono. Po kilku latach umarł w kryminale, a ciężkie miał skonanie, i przed śmiercią cóś bełkotał o swoich dzieciach i o chacie pod lasem.

Myśli i Zdania.

— Mędrzec w towarzystwie jest słonecznikiem i słońcem, to jest obraca swą głowę za innemi, i obraca swoją głową innych za sobą. Nienawidzi wielkich towarzystw, bo wie, że na morzu najłatwiéj umrzeć z pragnienia.

— *Serce męzkie* jest jak morze, jest wielkie; cała ludzkość ma do niego prawo; *serce kobiety* jest piękne, jest jako strumień wpadający do morza, ma do niego prawo pan jéj brzegów.

— Najpiękniejsze wiersze są te, których napisać nie można.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—Dnia 2 (14) Czerwca 1865 r.